

KAROL MODZELEWSKI *

Życiodajny impuls chuligaństwa **

W moim podręcznym bagażu, wśród najważniejszych prac, jakie w życiu przeczytałem, poczesne miejsce zajmuje niewielka książka, którą cenzura najpierw posłała na przemiał, ale w drugim podejściu, bodaj w 1967 r., jednak przepuściła. Jest to zbiór tekstów Leszka Kołakowskiego *Kultura i fetysze*. Pierwszy cenzor, który kazał tę książkę zniszczyć, wiedział, co robi. Nie były to wprawdzie polityczne pamflety, tylko eseje filozoficzne, ale system wartości łączył je w spójną całość z wywrotowymi poglądami autora.

Od 1956 r. Leszek Kołakowski był dla mnie i dla bardzo wielu moich rówieśników intelektualnym i moralnym autorytetem. W ciągu ostatnich 13 lat takie wyrażenia, jak „autorytet moralny” lub „etos” nabrały dwuznacznego sensu. Dzisiejsze autorytety na ogół dbają o poprawność, unikają stawiania niestosownych pytań i nie udzielają na nie odpowiedzi. Leszek Kołakowski jednak był i pozostał autorytetem całkowicie niepoprawnym.

W latach sześćdziesiątych jakiś partyjny dostojnik poszukujący *modus vivendi* z ludźmi kultury powiedział, że Kołakowski nie zmieści się w żadnej kompromisowej formule, bo jest politycznym chuliganem. Miał to być brzydki epitet, ale zabrzmiał jak najwyższa pochwała, Sam Kołakowski wołał alegorię błazna, który wchodzi na salony wiedzy, żeby popsuć dworskiemu kapłanowi celebrę i ugodzić króla celnym szyderstwem. W tym przypadku jednak ów partyjny dostojnik był – niejako z urzędu – bardziej kompetentny; w końcu to on reprezentował władzę i wiedział lepiej, czy odwaga myśli jest z perspektywy tronu błazenadą, czy chuligaństwem,

Po raz pierwszy zobaczyłem i usłyszałem Leszka Kołakowskiego w wielkiej sali Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego. Był chyba rok 1957, W NRD posadzono właśnie do więzienia pierwszego dysydenta, a w Polsce Gomułka przywracał stabilność systemu po październikowym wstrząsie i przypominał o naszym miejscu w obozie państw komunistycznych. Wielką aulę wypełniali po brzegi pracownicy uniwersytetu i studenci, na ogół członkowie partii; może było to walne zebranie uniwersyteckiej orga-

* Prof. dr hab. Karol Modzelewski, członek korespondent PAN, Instytut Historyczny, Uniwersytet Warszawski; e-mail: mokmag@compi.net.pl

** Przedruk za zgodą autora, według: Karol Modzelewski, *Życiodajny impuls chuligaństwa*, „Przegląd Filozoficzno-Literacki” nr 3-4(18), 2007, s. 9-11.

nizacji partyjnej. Kołakowski mówił, że nie wolno ulec dwubiegunowej logice szantażu, jakbyśmy musieli wybierać: „albo zachodnioniemieccy rewanżyści, albo haniebnym reżym Ulbrichta”. Nikt, absolutnie nikt tak wtedy nie mówił o sojuszniku z Układu Warszawskiego. Na sali było bardzo cicho i słowa o haniebnym reżymie Ulbrichta klasnęły jak uderzenie w twarz. To nie była błazenada. To była nieprzyzwoita odwaga nazwania po imieniu głęboko skrywanych intuicji moralnych, czyli akt chuligaństwa.

Oczywistym aktem chuligaństwa był też słynny pamflet *Czym jest socjalizm?* Każde zdanie tego tekstu oskarżało reżym i każde zaczynało się od stwierdzenia, że nie jest on socjalizmem. Była to kwintesencja radykalnego rewizjonizmu: oskarżenie i potępienie komunistycznego ustroju za to, że depcze w praktyce ideały, które w teorii sam głosi. Polscy rewizjoniści uważali Kołakowskiego za swojego duchowego przewodnika, a esej *Czym jest socjalizm?* za swój manifest ideowy. Ale ironiczna puenta tego tekstu nie mieściła się już w rewizjonistycznej formule i wskazywała, że autor jest gotów przejść od herezji do całkowitego przestępstwa. Po wyliczeniu nieprawości ustroju Kołakowski spełniał tytułową obietnicę: odpowiadał czym jest socjalizm. Odpowiedź mieściła się w pięciu słowach: „socjalizm to naprawdę dobra rzecz”. Rzecz nadawała się do kabaretu i rzeczywiście recytowano ją z upodobaniem w Piwnicy pod Baranami.

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Leszek Kołakowski nie mógł wiedzieć, dokąd zawędrują ludzie, którzy czerpali inspirację z jego tekstów. Poczował się jednak do odpowiedzialności za nich i za nieprzewidziane skutki własnych słów. Tak było również z Jackiem Kuroniem i ze mną. Chyba w grudniu 1964 r., parę miesięcy przed ogłoszeniem Listu Otwartego, ale już po zdemaskowaniu nas przez bezpiekę i usunięciu z partii, umówiliśmy się na zasadniczą rozmowę z naszym największym autorytetem. Kołakowski w znacznej mierze podzielał naszą krytykę ustroju, ale nie podzielał naszej utopii i powiedział nam to bardzo jasno. Odniosłem jednak wrażenie, że spodobała mu się nasza bezczelność. Pod tym względem byliśmy zresztą jego naśladowcami. Kiedy naturalną kolejną rzeczą znaleźliśmy się na ławie oskarżonych, wystąpił w naszej obronie. Na procesie, który toczył się w lipcu 1965 r. przy drzwiach zamkniętych, Leszek Kołakowski i Marian Brandys byli na sali jako nasi mężowie zaufania.

W akcie oskarżenia krytykę ustroju potraktowano jako rozpowszechnianie fałszywych wiadomości. Leszek Kołakowski napisał w związku z tym i skierował do sądu opinię semantyczną dotyczącą różnic pojęciowych między wiadomościami a ocenami oraz interpretacjami. Opinię tę, podpisaną również przez Marię Ossowską i Tadeusza Kotarbińskiego, warto byłoby wydobyć z sądowych archiwów. Jest to piękny tekst, w którym obrona wolności słowa i czystości prawa spleta się z epistemologiczną refleksją. Poglądy filozoficzne zawarte w tym sądowym dokumencie można bez trudu znaleźć w innych pismach Kołakowskiego. Myślę jednak, że nigdzie indziej nie znajdziemy tak przekonującego spotkania filozofii z życiem.

Usunięty w 1968 r. z Uniwersytetu Warszawskiego, Leszek Kołakowski wykładał i pisał w Oksfordzie. Na emigracji powstały *Główne nurty marksizmu* – jedyny gruntowny rozrachunek z doktryną, która naznaczył XX wiek. Na emigracji Kołakowski manifestował więź z krajem, przystępując do Komitetu Obrony Robotników. Dzieła Kołakowskiego są dziś w Polsce dostępne każdemu, kto zechce po nie sięgnąć, a telewizja publiczna robi z nim świetne programy. Szkoła filozoficzna, którą Leszek Kołakowski stworzył w Warszawie lat sześćdziesiątych, została jednak zniszczona. Od 1968 r. nie prowadził on tu seminariów, nie wychowywał uczniów i nie oddziaływał pracą nauczycielską na środowisko akademickie. Ciągłość została przerwana i powstała nieusuwalna, dotkliwa luka w krajobrazie polskiej kultury.

Na placu pozostał natomiast i pozostaje nadal sposób myślenia sędziego, który w 1965 r. orzekał w sprawie karnej przeciwko Kuroniowi i mnie. Nie zaliczył on opinii semantycznej Leszka Kołakowskiego do materiału dowodowego, „bo przecież każdy wie, co to jest wiadomość i nie ma potrzeby zastanawiać się nad tym”. Pogląd wyrażony wówczas z tak prostoduszną jasnością przez sędziego warto przypomnieć dlatego, że i dziś panuje on prawie niepodzielnie. Wyznają go ci ekonomiści, którzy swoją dziurawą i kontrowersyjną wiedzę przedstawiają niczym tabliczkę mnożenia; wyznają go ci dziennikarze, którzy bez namysłu powielają komunały; wyznają go ci wszyscy, którzy nie widzą potrzeby zastanawiania się nad tym, co oczywiste, ani kwestionowania tego, co ogólnie przyjęte. Tak objawia się atrofia krytycznego rozumu.

Filozofia głoszona przez Leszka Kołakowskiego była i jest remedium na to groźne schorzenie. Wnosi ona w nasze życie umysłowe życiodajny impuls chuligaństwa, bez którego myśl obumiera.

